

Rozważania na temat zgniłego jabłka

2 grudnia 2019

Nasz wiek jest niewątpliwie Wiekiem Nonsensu. Mądrzejsze nonsensy przeznaczone są dla dzieci, a głupsze – dla dorosłych. Osiemnaste stulecie nazywano Wiekiem Rozumu. Sądzę, że nie ma wątpliwości co do tego, iż wiek XX należałoby nazwać Wiekiem Bezrozumności. Ale i to jest zbyt łagodne określenie. Termin „Wiek Rozumu” pochodzi od tytułu książki napisanej przez wyznawcę racjonalizmu (Thomas Paine, *The Age of Reason*, 1794-1795). Racjonałiście temu chodziło jednak nie tyle o to, żeby nieracjonalnemu przeciwstawić to, co rozumne, ile przede wszystkim o to, żeby to, co naturalne, przeciwstawić temu, co ponadnaturalne. Tymczasem skutki bezrozumności mogą być groźniejsze niż skutki nienaturalności. Bezrozumność nie posługuje się niewiarygodną bajeczką, lecz niespójną ideą. Dawno temu powiedziałem w jakiejś rozmowie, że czym innym jest wiara w to, iż łodyga fasoli może wyrosnąć do samego nieba, a czym innym przekonanie, iż 57 fasolek równa się pięciu fasolkom.

Ktoś może na przykład nie wierzyć w cuda. Zwykle wynika to z apriorycznego założenia związanego z determinizmem; a czasami nawet z analizy dowodów. Gdy jednak powiemy takiej osobie o cudzie rozmnożenia chleba i ryb, to informujemy ją o zdarzeniu racjonalnym, choć nienaturalnym. Nie mówimy, że ilość ryb zmniejszyła się w wyniku ich pomnożenia. Pomnożenie pozostaje określeniem matematycznym. Tłum, który zaspokoił głód rozmnożonymi rybami, jest zjawiskiem mniej niezwykłym niż człowiek, który twierdziłby, że mnożenie jest tym samym, co odejmowanie. Dla sceptyka historia ta nie będzie wprawdzie brzmiała przekonująco, ale nie będzie pozbawiona sensu. Jeśli nawet nie pojmie on logicznej przyczyny, to uzna istnienie logicznego wynikania. Przecież żaden papież ani żaden ksiądz nie kazał mu wierzyć, iż tysiące osób dlatego zmarły z głodu

na pustyni, że miały pełno chlebów i ryb. Żadna prawda wiary, żaden dogmat nigdy nie głosił, że zabrakło żywności, ponieważ było za dużo ryb. I to jest właśnie praktyczna i prozaiczna definicja sytuacji, w której znajduje się obecnie nowoczesna ekonomia. Człowiek Ery Nonsensu musi pochylić czoło i powtarzać swoje „credo”, motto swoich czasów: „Credo quia impossibile” („Wierzę w to, ponieważ jest to niemożliwe”).

Chociaż może rozumniej byłoby użyć określenia „bezrozumność” dla nazwania pewnej kategorii luźnych, nieprecyzyjnych sformułowań, które są nielogiczne przynajmniej pod względem formy. Najbardziej znanym przypadkiem należącym do tej kategorii są tzw. irlandzkie żarty, które często kojarzono z papieskimi bullami i uważano za rodzaj nadnaturalnych stworów wyhodowanych na łatwowierności i przesądzie [1]. Tymczasem nawet to nieporozumienie jest niczym w porównaniu z nowym absurdem. Jeśli jakiś Irlandczyk rzeczywiście powie: „Nie jesteśmy ptakami, żeby móc przebywać w dwóch miejscach jednocześnie”, to przynajmniej wiemy, co ma na myśli, nawet gdyby jego słowa znaczyły co innego. Co by się jednak stało, gdyby powiedział, że jeden ptak został cudownie przemieniony w milion ptaków i dlatego teraz jest na świecie mniej ptaków niż przedtem? Wtedy mielibyśmy do czynienia nie ze zwykłym irlandzkim żartem, tylko z irlandzkim szaleństwem [2]; mielibyśmy się zмагаć nie z czymś niewiarygodnym, ale z czymś niemożliwym do pojęcia. Możemy też przywołać pewne fakty. Irlandczykom przypisuje się czasem wybujałe emocje i skłonność do chorobliwej uczuciowości. Ale nikt nie mówi, że Irlandczycy wymyślili sobie Wielki Głód [3], w wyniku którego tysiące ludzi zmarły, ponieważ zbyt małe były plony ziemniaków. Wyobraźmy sobie tylko Irlandczyka, który mówi, że ludzie umierali z głodu, bo ziemniaki nadzwyczajnie obrodziły. Wydaje mi się, że czegoś takiego nie usłyszymy nawet z ust Irlandczyka lubującego się w absurdach.

Tymczasem gospodarka, z którą ma do czynienia dzisiejszy Anglik, a w dużej mierze także Amerykanin, osiągnęła stan

takiego właśnie absurdu. Mówi nam się, że jest głód, ponieważ nie występuje niedostatek oraz że plony ziemniaka są tak obfite, iż brakuje ziemniaków. Na tym tle Irlandczyk ze swoimi bykami i ptakami wydaje się twardym realistą i racjonalistą. Stare przykłady zdarzeń niezwykłych znacznie ustępują faktom ze współczesności. Zarówno zdarzenia tajemnicze, które wykraczały poza możliwości rozumu, jak i zwykły mętnik, który był poniżej poziomu pojmowania – nie mogą się równać z tym, czego doświadczamy obecnie. Te cuda były bardziej normalne niż nasza naukowa norma; a irlandzkie absurdy były mniej nielogiczne niż logika zdarzeń, z jakimi mamy do czynienia.

Wygląda na to, iż żyjemy w świecie czarów, w którym sady usychają dlatego, że rozkwitają, a sama obfitość jabłek na jabłoni powoduje, że jabłka stają się owocem zakazanym i wysiłki czynione w celu ich skonsumowania stają się – w każdym znaczeniu tego słowa – bezowocne. Na tym polega paradoks współczesnej ekonomii noszący nazwę nadprodukcji albo nadmiaru towarów na rynku. I chociaż na pierwszy rzut oka wydaje się to czystą fantastyką, należy dobrze zdać sobie sprawę z tego, w jakim znaczeniu jest to najprawdziwszy fakt. Przyjmijmy więc za oczywiste, że jako opis obiektywnej sytuacji społecznej, która ma miejsce w chwili obecnej w tym społeczeństwie industrialnym, paradoks ten jest całkowicie prawdziwy. Z drugiej strony nie jest prawdą, że wewnętrzna sprzeczność jest prawdą. Jeśli potraktować to nie jako opis, lecz jako definicję i rozpatrywać w kategoriach abstrakcyjnej wartości jako argumentu, to z pewnością ta sprzeczność jest nieprawdziwa, podobnie jak każda inna sprzeczność.

Rzecz w tym, że pojawił się tutaj pewien trzeci element, o którym nie ma mowy w ujęciu abstrakcyjnym. Czynniki ten można przedstawiać na wiele sposobów. Być może najprościej mówi o nim bajka o sprzedawcy brzytwy, który w odpowiedzi na reklamację spokojnie tłumaczy oburzonemu klientowi, że przecież wcale nie obiecywał, iż brzytwa będzie goliła. Na pytanie, czy brzytwy nie służą do golenia, odpowiada, że

brzytwy służą do sprzedawania. Jest to Krótka Historia Handlu i Przemysłu w wieku XIX i na początku XX. Bóg stworzył świat rozumu, tak jak Bóg stworzył małe jabłka (o czym mówi piękne przysłowie). Bóg nie stworzył małych jabłek większymi niż duże jabłka. Nie jest prawdą, że człowiek, którego jabłoń ugina się pod ciężarem owoców, będzie cierpieć niedostatek jabłek; chociaż może je przeznaczyć na zmarnowanie. Jeśli jednak nie potraktuje jabłek jako czegoś do jedzenia, lecz wyłącznie jako coś do sprzedania, to popadnie w nowe kłopoty. A te mogą doprowadzić do pewnej sprzeczności. Jeśli zacznie produkować nie tyle jabłek, ile potrzebuje, lecz tyle, ile – jak sądzi – potrzebuje cały świat, mając nadzieję, że opanuje produkcję na całym globie, to albo uda mu się zwyciężyć w konkurencji z sąsiadem, który też chce przejąć całą światową produkcję jabłek, albo przegra w tej konkurencji. Obydwaj zaczną produkować tak dużo jabłek, że cena tych owoców na rynku spadnie do poziomu ceny piasku na plaży. Oba zorientują się, że mają w kieszeni bardzo mało pieniędzy, za które mogliby kupić gruszki w sklepie warzywnym. Gdyby nie założyli, że będą się zaopatrywać w owoce w sklepie warzywnym, lecz wyciągnęli rękę i zerwali je z własnego drzewa, trudność ta nigdy by się nie pojawiła. Wydaje się to proste i jeśli przyjrzeć się istocie jabłoni i uprawie jabłek, to naprawdę tak jest.

Nie chcę przez to powiedzieć, że jest to obecnie proste w praktyce. Żadne zagadnienie praktyczne nie jest proste, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, gdy wszystko jest pogmatwane przez nieuczciwych, wprowadzających zamieszanie krętaczy nazywanych pragmatycznymi politykami. Tym niemniej zasada pozostaje prosta. A jedynym sposobem na to, żeby poradzić sobie w skomplikowanej sytuacji, jest wyjście od właściwej podstawowej zasady. Zupełnie innym zagadnieniem jest to, do jakiego stopnia możemy się pozbyć niedogodności związanych ze sprzedawaniem i kupowaniem albo jak dalece możemy kontrolować lub modyfikować te procesy. Niedogodności wynikają jednak ze sprzedawania i kupowania, nie zaś z produkowania. Nawet nie z produkowania w zbyt dużych ilościach. I z pewną ulgą

uświadamiamy sobie, że nie żyjemy w sennym koszmarze, gdzie NIE znaczy to samo co TAK; że nawet dzisiejszy świat nie popadł – mimo wszystkich pomysłowych starań czynionych w tym kierunku – w kompletne szaleństwo; że dwa plus dwa równa się cztery, i że człowiek, który ma cztery jabłka, naprawdę posiada ich więcej niż człowiek, który ma trzy jabłka. Niektórzy bowiem współcześni metafizycy i filozofowie moralności skłonni są pozostawić nas w niepewności co do tego, czy tak rzeczywiście jest. Wina nie leży w fundamentalnych podstawach rzeczy; szkopuł lub fałsz pojawił w wyniku stosowanej ostatnio sztuczki polegającej na tym, że wszystko rozpatruje się w odniesieniu do handlu. W handlu jako takim nie ma niczego złego, ale handel postawiono w miejsce prawdy. Handel, który ze swej natury jest rzeczą drugorzędną, podporządkowaną, traktowany jest jako coś najważniejszego i niezależnego, jak absolut. Przedstawiciele najnowszych generacji, mając obsesję na punkcie mnożenia, utworzyli nawet liczbę mnogą czegoś, co jest odwiecznie pojedyncze – w znaczeniu: jedyne. To, co wszyscy starożytni filozofowie nazywali „dobrem”, zamienili na mnogie „dobra”.

Jestem przekonany, że niektórzy mistycy z kręgów amerykańskiego biznesu protestowali przeciwko kryzysowi, przyczepiając do płaszczy kartki z napisem: „Handel jest dobry”, a także z innymi podobnymi hasłami, takimi jak: „Capone nie żyje”, „Rak jest przyjemny”, „Zniesiono śmierć” i wszelkimi równie realistycznymi twierdzeniami, które tylko zmieściły się na ich ciałach. W działalności tych czarodziejów interesuje mnie to, że postanowiwszy za pomocą zaklęć i czarów stworzyć idealne warunki sprzyjające zapanowaniu nad elementami, nie pojęli (że tak powiem), czym są elementy tych elementów. Nie sięgnęli do korzeni problemu i nie wyobrazili sobie, że ich zmartwienia w rzeczywistości skończyły się. Zajęli się kultem środków zamiast czcić cel. Powinni raczej mówić: „Dobrze jest żyć”, „Życie jest dobre”, a nie: „Handel jest dobry”. Zapewne oczekiwanie, że tak znaczne grono mogłoby głosić: „Bóg jest dobry” byłoby wygórowane, ale niewątpliwie w

wyznawanej przez nich koncepcji dotyczącej tego, co jest dobre, brakuje filozoficznej podstawy, którą stanowiła dobroć Boga. Gdy Bóg wejrzał na stworzone rzeczy i stwierdził, że są dobre, oznaczało to, iż są dobre same w sobie i takimi, jakimi są. Tymczasem we współczesnym, merkantylnym ujęciu Bóg spojrzałby na nie i zobaczył tylko, że są „dobrami”. Inaczej mówiąc, na każdym drzewie i pagórku wisiałaby metka – jak kartka na kapeluszu Szalonego Kapelusznika [4] – z napisem: „ten typ, 10/6”. Wszystkie kwiaty i ptaki miałyby etykiety z informacją o przecenie, wszelkie stworzenie byłoby na sprzedaż albo wszystkie zwierzęta poszukiwałyby zatrudnienia, poranne gwiazdy układałyby się na niebie w neony, a Synowie Boży wykrzykiwaliby oferty pracy.

Innymi słowy, ci ludzie nie są w stanie wyobrazić sobie dobra, które nie pochodziłoby z wymiany barterowej czegoś za coś innego. Nie do pojęcia jest dla nich, że jakąś rzecz można cenić samą w sobie. Pomysł, że ktoś mógłby jeść jabłka z własnej jabłoni wydaje im się bajką. Tymczasem za upadek, jaki się dokonał od czasów pierwszego stworzenia, które nazwane było dobrym, w dużej mierze odpowiedzialna jest chorobliwa nieumiejętność docenienia rzeczy samych w sobie, szaleństwo handlarza, który nie może dostrzec dobra w dobru, o ile nie jest ono czymś, czego można się pozbyć. Ktoś kiedyś zauważył, że razem z grzechem i śmiercią pojawiła się na świecie zmiana. W tym spostrzeżeniu zawarta jest tragiczna prawda, ponieważ to, co nazywaliśmy zmianą, stało się następnie wymianą. W każdym razie dziwactwo wymiany zaowocowało sytuacją, w której mamy zbyt dużo jabłek i za mało chętnych do ich zjedzenia. Nie upieram się przy symbolice związanej z rajem i jabłonią, ale zastanawiające jest, że ów losowo dobrany przykład prześladuje nas w tej dziwnej historii. Ostatnią konsekwencją traktowania drzewa jako sklepu, a nie jako spiżarni, ostatecznym rezultatem traktowania jabłek jako dóbr, a nie jako dobra, są rozpaczliwe wysiłki instytucji dobroczynnych i ubogich sprzedających jabłka na ulicy.

Handlarz istniał i musi istnieć w każdej normalnej cywilizacji. Jednakże w każdej normalnej cywilizacji handlarz był wyjątkiem, z pewnością nie stanowił normy, a na pewno nie ustalał norm. Dominujące znaczenie, jakie zdobył w dzisiejszym świecie, jest przyczyną wszystkich nieszczęść tego świata. Powszechnym zwyczajem ludzi było produkowanie i konsumowanie – traktowane jako elementy tego samego procesu, a często także dokonujące się z udziałem tych samych osób i w tym samym miejscu. Czasami dobra produkowano i konsumowano w obrębie jednego wielkiego majątku feudalnego, czasem nawet w tym samym małym gospodarstwie chłopskim. Pracę wykonywali niewiele różniący się od niewolników chłopci pańszczyźniani albo wolni ludzie, współpracujący na zasadach, które powierzchowny obserwator mógłby pomylić z komunizmem. Żadna z tych różnych historycznych metod, obciążonych wieloma wadami i ograniczeniami, nie była jednak skrępowana więzami charakterystycznymi dla naszych czasów. Większość ludzi przez większość czasu była zajęta produkcją żywności i jedzeniem jej, a nie wyłącznie produkcją żywności i sprzedawaniem jej po możliwie najwyższej cenie komuś, kto nie ma co jeść.

Osobiście nie widzę innej drogi wyjścia z dzisiejszego zaplątania niż zwiększenie liczby ludzi, którzy żyją według zasad starodawnej prostoty. Nikt przy zdrowych zmysłach nie twierdzi, że nie powinno być handlarzy i handlu. Należy jednak pamiętać, że w świetle logiki bogactwo mogłoby istnieć nawet jeśli nie istniałby handel ani handlarze. Ważne, by zauważyli to ludzie, dla których jedyną nadzieję stanowi to, że „handel jest dobry”, a także ci, których jedyną skrywaną obawę stanowi to, że „handel jest zły”. W zasadzie mógłby istnieć dobrobyt na bardzo wysokim poziomie przy bardzo słabo rozwiniętym handlu. Gdyby wioska była tak szczęśliwie usytuowana, że każda mieszkająca w niej rodzina mogłaby hodować własne kury, uprawiać warzywa, doić własną krowę i (muszę to dodać) warzyć własne piwo, poziom życia i bogactwa naprawdę mógłby być bardzo wysoki. Byłby taki, mimo że najstarszy mieszkaniec przypominałby sobie tylko dwie transakcje handlowe, do jakich

doszło za jego życia: zakupienie kapelusza u cygańskiego kramarza przez sąsiada oraz odosobniony przypadek zakupu parasola, czego dokonał farmer Billings.

Jak już powiedziałem, nie wyobrażam sobie, żeby świat miał się kiedyś stać tak prosty, ani tego nie pragnę. Musimy jednak najpierw zrozumieć prostotę rzeczy, by następnie móc wyjaśnić lub skorygować ich złożoność. Złożoność społeczeństwa komercyjnego stała się nie do zniesienia z tego powodu, że społeczeństwo to jest wyłącznie komercyjne. Umysły społeczeństwa wypełnione są w całości myślami o przekazywaniu rzeczy kolejnym osobom, a nie o posiadaniu ich. Gdy wspomniani już prostoduszni entuzjaści mówią, że handel jest dobry, to chcą przez to powiedzieć, iż wszyscy ludzie, którzy posiadają rzeczy, nieustannie się z nimi rozstają. Ci optymiści przywołują zapewne – nieznacznie tylko zmieniając ich sens – słowa poety: „Nasze dusze to miłość i nieustanne rozstania”. W tym znaczeniu nasze nowoczesne indywidualistyczne i komercyjne społeczeństwo jest w istocie rzeczy dokładnym przeciwieństwem społeczeństwa opartego na prywatnej własności. Chodzi o to, że prawdziwa, bezpośrednia radość z posiadania prywatnej własności – w odróżnieniu od zapału związanego z wymianą lub uzyskaniem z niej dochodu – występuje obecnie rzadziej niż w wielu prostych społecznościach, które swoją prostotą przypominają niemal komuny.

Przy takim rodzaju prywatnej konsumpcji, która jest jednocześnie prywatną produkcją, istnieje bardzo małe prawdopodobieństwo pojawienia się nadprodukcji. Liczba jabłek, które może zjeść jeden człowiek, jest ograniczona. Istnieje również granica ilości wyprodukowanych przez niego jabłek, których nie będzie w stanie zjeść. Granicę tę stanowi jego głęboka i zdrowa niechęć do pracy. Nie istnieje jednak granica ilości jabłek, którą człowiek mógłby potencjalnie sprzedać, i wkrótce staje się on energicznym, zręcznym, dobrze radzącym sobie sprzedawcą, wyracając cały świat do góry nogami. To właśnie on przyczynia się do powstania tego kolosalnego

spektakularnego paradoksu, od którego rozpoczęliśmy te zawiłe rozważania. To on doprowadza do rewolucji gwałtowniejszej niż wywołana przez jabłko Adama rewolucja, która przyniosła światu śmierć; gwałtowniejszej niż rewolucja Newtona, którego jabłko było apokalipsą grawitacji. Głosi on bowiem największe bluźnierstwo i herezję, mianowicie że jabłko zostało stworzone dla rynku, a nie dla brzucha. To właśnie on – podejmując szaleńczą gonitwę w celu zasypania niemającego granic rynku nieskończoną ilością jabłek – otworzył wrota do otchłani ironii i sprzeczności, w którą dzisiaj spoglądamy. Sztuczka polegająca na tym, żeby handel traktować jak sprawdzian i to jedyny sprawdzian, postawiła nas oko w oko z kompletnym i ewidentnym nonsensem wypisanym na całym świecie wielkimi literami – większymi niż wytwarzane przezeń absurdalne reklamy i ogłoszenia – z twierdzeniem, że im więcej produkujemy, tym mniej posiadamy.

Oscar Wilde prawdopodobnie zemdlełby natychmiast, gdyby powiedziano mu, że posłużono się jego cytatem w dyskusji na temat sztuki kupieckiej w Ameryce albo w obronie zapobiegliwego i nobliwego życia rodzinnego na farmie. Tak się jednak składa, że wśród wielu niemądrych epigramatów jego autorstwa znajduje się jeden, który zwięźle oddaje pewną prawdę dotyczącą nie (o czym z zadowoleniem donoszę) sztuki, lecz wszystkiego, co chciał on oddzielić od sztuki, a więc etyki, a nawet ekonomii. W jednej ze swoich sztuk powiada tak: „Cynik to człowiek, który zna cenę wszystkiego, ale nie zna wartości niczego” [cytat pochodzi z *Lady Windermere's Fan* (1892)]. Stwierdzenie to jest niezwykle prawdziwe i stanowi odpowiedź na większość innych wypowiedzianych przez Wilde'a kwestii. Jeszcze bardziej niezwykle jest jednak to, że ludzie, którzy w tak ewidentny sposób popełniają dzisiaj ten błąd, najprawdopodobniej nie są cynikami. Przeciwnie, są to ludzie, którzy nazywają siebie optymistami, a nawet być może idealistami; z pewnością zaś popełniają ten błąd ci, którzy uważają się za zwykłych facetów, synów obowiązku i kariery. Bardzo często to właśnie ci ludzie odpowiadają za zniweczenie

korzystnych efektów swojego wysiłku i rozmycie względnie dobrego przykładu, jaki dają w pracy i w kontaktach społecznych. A wszystko przez ten błąd: przez to, że uważają, iż rzeczy należy osądzać ze względu na ich cenę, a nie ze względu na ich wartość. Ponieważ zaś cena jest czymś szalonym i niedającym się wyliczyć, a wartość jest czymś, co tkwi w samych rzeczach i co jest niezniszczalne, to sprawili oni, że przestaliśmy być społeczeństwem solidnym, a staliśmy się społeczeństwem opartym na płynnych podstawach, niezgłębnym jak morze i zdradliwym jak ruchome piaski.

Nie miejsce tu, by rozwijać rozważania na temat możliwości ponownego zbudowania czegoś solidniejszego w oparciu o filozofię społeczną odwołującą się do wartości. Jestem jednak pewien, że niczego solidnego nie da się zbudować na żadnej innej filozofii; niewątpliwie zaś nie nadaje się do tego celu całkiem niefilozoficzna filozofia, która polega na ślepym kupowaniu i sprzedawaniu; na zmuszaniu ludzi do kupowania czegoś, czego nie chcą; na produkowaniu przedmiotów niskiej jakości, żeby uległy zepsuciu i żeby ludziom się wydawało, że muszą kupić ich kolejne egzemplarze; na podtrzymywaniu szybkiego obiegu tandety, która krąży jak tumany kurzu na pustyni; na udawaniu, że uczy się ludzi, jak mieć nadzieję, choć w rzeczywistości nie zostawia im się ani chwili na refleksję, by nie popadli w rozpacz.

Autor: Gilbert Keith Chesterton

Tłumaczenie: Witold Falkowski

Źródło oryginalne: „The Well and the Shallows” (zbiór esejów z 1935 r.).

Źródło: NowyObywatel.pl

PRZYPISY TŁUMACZA

[1] Nieprzetłumaczalna gra słów, kojarząca trzy różne zjawiska połączone słowem „bull”: Irish bull – absurdalny żart, powiedzenie zawierające logiczną sprzeczność; Papal Bull – bulla papieska; bull – byk, zwierz.

[2] Ponownie gra słów: Irish bull, mad bull.

[3] Spowodowany zarazą ziemniaczaną głód w Irlandii w latach 1845-1851, w wyniku którego zmarło około miliona osób.

[4] Mad Hatter – Szalony Kapelusznik – postać z Alicji w Krainie Czarów.